Ner 24. Kraków 23 lipca 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

ALEKSANDER HERCEN.

Staro-moskiewska partja i jej naczelnicy mogli sobie swobodnie odetchnąć, kiedy przed niedawnym czasem publiczne pisma przyniosły do Rossji wiadomość, iż „Kołokoł“ („Dzwon“), owa głownia, którą śmiały publicysta co tydzień z Londynu do ich obozu wrzucał, z nowym rokiem przestał zupełnie wychodzić. Był to znak, że nieustraszony szarmierz za wolność swej ojczyzny, który w Londynie szukał i znalazł przytułek dla siebie i swych opinji, nagle uczuł się na siłach słabym i niezdolnym do prowadzenia dalszej zaciętej walki z konserwatyzmem, despotyzmem i ciemnem barbarzyństwem. *Aleksander Hercen* należał do tej małej liczby wojowników politycznego i intellektualnego postępu, którzy z rozwiniętym sztandarem w ręku stojąc na wyłomie, wtenczas chyba dopiero zaprzestają nieprzejednaną i zaciętą walkę z nieprzyjacielem swych idei, kiedy już żarzący w nich płomień, przegryzie spróchniałą obsłonę ducha i zniszczy zupełnie byt ich fizyczny. Niedawna jego śmierć potwierdziła nadzieje jego wrogów i obawy jego przyjaciół. Chcąc jeszcze wykorzenić długo tłumioną w sobie chorobę, udał się na początku tego roku do Paryża, aby się oddać pieczy kilku słynnych medycznych znakomitości. Opieka ta była daremną; raz tylko jeszcze zgromadziwszy około siebie swych przyjaciół i zwolenników w pawilonie *du Rohan*, dnia 24 Stycznia Bogu ducha oddał.

Polska, która ciemiężona nielitościwie przez Moskwę znalazła w nim gorliwego i jednego z małej liczby Rossjan obrońcę dla swej sprawy, niepomierny bierze udział w wygnańczych losach Hercena. Dlatego nie bez interesu będzie dla naszych czytelników, przedstawienie kilku rysów z życia naszego przyjaciela, nad którym niedawno świeża zawarła się mogiła.

Aleksander Hercen z matki swej Niemki zachował w sobie pewne zasady niemieckiego myślenia, które z jego moskiewskim żywiołem dość się zgadzało. Przyjmował on w siebie z chciwością niemiecką filozofję, której naczelnikiem i prawodawcą był Hegel, a z drugiej strony nie pozostał on obcym teorjom St. Simonismu, któremu wtenczas większa część francuzkiej młodzieży hołdowała. Te różnolite żywioły musiały koniecznie w młodym rossyjskim umyśle, nie chcącym znać rozdziału między światem idealnym a rzeczywistym, jak to niemieccy professorowie starają się udowodnić, wywołać pewną wrzawę i doprowadzić do kolizji z światem rzeczywistym.

W Rossyi, gdzie autokratyczny system, wytwarza państwo i społeczeństwo według swych własnych pojęć, i wszelkie z moskiewskim ideałem niezgodne wyrosty ścina i na zagnojenie Sybiru poseła, kolizje te musiały wcześniej nastąpić, niż gdziekolwiekbądź indziej. — Hercen był jeszcze studentem uniwersytetu w Moskwie, kiedy w r. 1834, jak sam opowiada w swej *„Tiurma i ssylka“* (Więzienie i wygnanie), policja moskiewska została zawiadomioną, iż pewne grono studentów uniwersytetu, „nieprzyjaźnie usposobione jest dla cesarza.“ Wysłano tam natychmiast tak zwanego *agent provocateur*, starego oficera nazwiskiem *Skariatkę*, który wkrótce umiał wśliznąć się jak wąż w zaufanie wielu członków tej opozycyjnej grupy, do jakiej i Hercen należał. On sam i kilku najbliższych jego przyjaciół poznali się zaraz na farbowanym lisie, inni jednak, mimo przestróg Aleksandra, byli mniej przezorni. Między tymi ostatnimi młody jeden student, który właśnie ostatnie egzamina pozdawał, chcąc pomyślny ten rezultat zakończyć uroczyście, wyprawił swym przyjaciołom, liczącym do swego grona wspomnianego wyżej ajenta, ucztę, w której jednak Hercen i kilku innych, przeczuwając coś złego, nie wzięło udziału. Czego się obawiali, to się stało. Uczta owa zamieniła się stopniowo w pewien rodzaj hulanki, przy końcu której śpiewano satyrę jakiegoś Sokołowskiego, wymierzoną przeciw carowi. Wieczorem tego samego dnia Skariatka zaprosił do siebie całe towarzystwo, chcąc je uczcić kilku butelkami szampana, ponieważ, jak mówił, zrobił był dobry interes na sprzedaży koni. Towarzystwo to było nie mniej teraz wesołe, jak i przy obiedzie, a kiedy szampan należycie rozgrzał już głowy, gospodarz poprosił o powtórze-

nie owej piosenki, która mu się bardzo podobała. Uczyniono zadość jego życzeniu, i kiedy w najlepsze zaczęto śpiewać, nagle otwierają się drzwi przyległego pokoju, wchodzi komisarz policyjny z rotą żołnierzy i aresztuje całe towarzystwo. Hercen, który dla wyswobodzenia uwięzionego jednego z swych przyjaciół, czynił był jakieś kroki, ściągnął sam na siebie podejrzenie i został również aresztowany. Po długiem więzieniu i całej serji śledztw, które nic nie wyjaśniły, Hercen dla swych simonistycznych i burzliwych pojęć wywieziony został do Permu na granicę Syberji; ztamtąd zaś, ustępując miejsca innemu zesłańcowi, dalej na wschód jeszcze, do Wiatki. Część jego książki, gdzie nam spisuje swój pobyt w Wiatce, należy do najwięcej zajmujących, jakie w którychkolwiek podobnego rodzaju opisach znaleść można. Gubernator Finfajew był, według opowiadań Hercena, azjatyckim satrapą w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu. Hercen przebył trzy lata w Wiatce; wizyta następcy tronu Aleksandra, dzisiejszego cara Aleksandra II, pociągnęła za sobą upadek Finfajewa, i przeniesienie Hercena do Włodzimierza, miasta leżącego prawie w środku Rossyi.

W r. 1839 został zupełnie ułaskawiony i powołany do Petersburga, gdzie mu w biurze hr. Stroganowa dość ważną ofiarowano posadę. Hercen jednak nie myślał bynajmniej zaprzyjaźniać się z organizmem państwa i porzucać swe dawne ideje; owszem tak mało się z niemi nawet ukrywał, iż hr. Stroganow, życzący mu dobrze, uznał za stósowne przewieść go z Petersburga do Nowgorodu, gdzie Hercen miał mniej sposobności narażenia się rządowi radykalizmem swych opinji. Tutaj pozostał jako członek rady aż do r. 1846, w którym śmierć ojca zrobiła go właścicielem znacznego majątku i stawiała go w możności wykonania dawno już żywionego w sobie planu podróży; do tego jednak, jak wiadomo, w Rossji potrzeba pozwolenia wyższej władzy, na które Aleksander, jakkolwiek urzędnik państwa, cały rok czekać musiał. Pozwolenie przyszło w r. 1847 i Hercen otrząsnął nareszcie na obcej ziemi z nóg swych pył swej ojczyzny, gdzie w duszącej atmosferze dłużej już żyć nie chciał. Od tego czasu nigdy już nie wrócił do Rossji. Żył najpierw we Włoszech, rewolucja lutowa powołała go do Francji, gdzie aż do *dni lipcowych* pozostał; później udał się do Genewy, aż wreszcie zamieszkał stale r. 1849 w Londynie. Tutaj dopiero rozpoczął on swą właściwą publicystyczną działalność i założył własną drukarnię, której głównym i wyłącznym celem było, przez oryginalne dzieła i broszury, jakoteż przez tłumaczenia niemieckich, francuzkich, angielskich i włoskich książek na język moskiewski, rozszerzać w Rossji ideje wolności i oświaty. Dzieła Ludwika Blanca, Lelewela, Mazziniego, jakoteż oryginalne pisma Hercena i Gogola wychodziły z tej drukarni i zalewały całą Rossję, ku największej rozpaczy moskiewskiej policji, która nie umiała i nie zdołała przeszkodzić dowozowi tej niebezpiecznej kontrabandy.

Przejdźmy do literackiej czynności Hercena.

Pierwsze jego dzieło ukazało się w roku 1842 pod tytułem: „*Dyletantyzm w nauce.*“ Hercen, jak niemal we wszystkich swych pismach, nie podał swego właściwego nazwiska, ale przyjął pseudonim *Iskander*, znaną perską formę Aleksandra. Książka ta jestto gorąca z pełnym zapałem i gruntownością napisana apologja Heglowskiej filozofji, a jeszcze więcej polemiką przeciwko jej przeciwnikom i przeciwnikom nowej nauki, zawierająca przytem, oprócz teoretycznych rozpraw, także trafne i doskonałe uwagi o narodowym charakterze Moskali. Dzieło to tak było pomyślnie przyjęte, iż Hercen wkrótce potem z nowem wystąpił pismem: „*Listy o studjach natury.*“ Tytuł nie daje tu dokładnego wyobrażenia o treści; autor chciał dowieść, że antagonizm między filozofją a nauką coraz więcej znika.

(Dokończenie nastąpi).

RODZEŃSTWO

OPOWIADANIE Z PRAKTYKI KRYMINALNEJ

J. Temmego.

I.

DWIE SIOSTRY.

(Ciąg dalszy).

Młody człowiek zamknąwszy drzwi za sobą, zbliżył się do niej i padł na kolana. Rozpacz ośmieliła go.

— Karolino, siostro kochana, poratuj mnie raz jeszcze!

Był to brat pięknej i młodej wdowy, Teodor Grone, pisarz sądowy prowincjonalnego miasteczka. — Karolinę strach opuścił, ale za to gniew opanował.

— Więc znów to samo? zawołała. Ale cóż mnie to obchodzić może? Powiedziałam, przysięgłam, że wszystko między nami skończone.

— Ulituj się raz jeszcze, droga Karolino!

— Nie, nie, nic z tego nie będzie.

— Będę zgubionym, zostanę żebrakiem, jeśli mnie nie poratujesz.

— Mogłeś pierw o tem pomyśleć co cię czeka.

— Karolino, ty niemasz i niemiałaś dzieci, ale przez pamięć naszych rodziców, naszego poczciwego ojca, który tak pracował, aby ciebie, by nas wyżywić; — przez pamięć matki, której ostatnią troską był los jej dzieci; Karolino miej litość!

— Żebrzesz na próżno, hańbisz pamięć naszych biednych rodziców, a mnie robisz wstyd okropny!

— Teraz to nie z mej winy.

— Tak zawsze mówisz. — Zaniedbujesz swoje obowiązki — jesteś szulerem. Jesteś człowiekiem niepoprawnym.

— Rozpacz młodego człowieka była coraz większa, prosił ciągle nie zrażając się oziębłością i surowością siostry, która zdawała się być coraz ostrzejszą.

— Siostro, żądam tylko trzystu talarów.

— Niedostaniesz i trzech groszy odemnie.

— To taka bagatela dla ciebie. Masz tyle tysięcy w tem biurku.

— Chociaż mam tyle tysięcy to tobie nic nie dam. Już cię dwa razy poratowalam i to nic nie pomogło. A ostatnim razem przysięgłam sobie, że już nigdy nic ode mnie nie dostaniesz. Przysięgi muszę i powinnam dotrzemać. Wszakże to sprawa sumienia.

Wszystko na tym świecie ma swój cel i koniec, nawet walka śmierci z życiem. Brat bogatej pani podniósl się, mówiąc:

— Sprawdzają się słowa Przedwiecznego, który wyrzekł: Bóg, biblja i sumienie, to zwykle wasze trzecie słowo.

Tak, Przedwieczny wyrzekł: Prędzej kamelion przejdzie przez norę szczura, niż bogacz zyska niebo.

— Żyj szczęśliwie siostro. Niech nieba będą dla ciebie łaskawsze niż ty dla mnie. Po tych słowach wyszedł z pokoju.

Piękna młoda pani stała przez chwilę nieruchuma, ale w krótce ocknęła się mówiąc: „Była to dla mnie rzeczywiście sprawa sumienia.

Po tych słowach uspokoiła się zupełnie. Zbliżyła się znów do lustra, aby się przekonać czy jej ubranie nie uszkodziło się w czasie tego niemiłego epizodu. Wszystko było w porządku, jeden tylko lok rozwinął się nieco, co też zaraz poprawiła.

Kwandrans upłynął. Henryka wróciła, przybrana w stare suknie, które jednak wydały się jej bardzo świetne i piękne. Skromne dziewcze nie mogło ukryć swego zachwycenia. Cała jej postać, ożywiła się, nabrała blasku, co ją uczyniło piękniejszą niż zwykle! „Ja przecież jestem piękniejszą!“ powiedziała sobie bogata wdowa.

— Powóz zajechał. Obie siostry wsiadły i pojechały na koncert, odbyć się mający u wód, w sąsiedztwie.

STARY INWALIDA I SZLACHETNY GENERAŁ.

Powóz przybył na miejsce przeznaczenia. Źródło było o pół godziny drogi od miasta, to też eleganckie towarzystwo, zbierało się tam tłumnie, przybywając nawet i z dalszych okolic; a gdy zapowiedziano jaką zabawę lub koncert, wtedy wpływ ludzi bywał tak wielki, że trudno się było przesunąć. Tego dnia muzyka wojskowa, pułku stojącego garnizonem w sąsiednim mieście, zapowiedziała wielki koncert. Zebranie było liczne i świetne.

— Spotkasz tu towarzystwo bardzo wytworne, mówiła starsza siostra do młodszej z pewnem naciskiem.

W bliskości kursalu siedziało przy małym stoliczku dwóch panów. Jeden z nich był w oficerskim mundurze, drugi w cywilnem ubraniu. Obadwaj byli młodzi. Cywilny zdawał się oczekiwać na kogoś. Spoglądał bezustannie w stronę zkąd przybywały powozy, a gdy spostrzegł zbliżający się powóz wdowy, twarz jego rozjaśniła się. Poskoczył żywo, młody oficer siedzący przy sąsiednim stole zerwał się i zatrzymał go w biegu.

— Czy wiesz, że twój stryj jest tu?

— Zagadnięty zastanowił się.

— Gdzie zapytał.

— Tam za drzewami. Musi wiedzieć, że tu jesteś, bo całą uwagę ma zwróconą w tę stronę.

— Dobrze.

Młody hrabia Hochstad pobiegł ku powozowi, rzucił jednak wzrokiem po za siebie. O jakie dwadzieścia kroków od siolika, przy którym siedział, wznosiły się dwie kwitnące akacje, w te stronę zwrócił młodzieniec swój wzrok i musiał znaleść czego szukał. Ale nie troszczył się o to. Bo o cóż się troszczy dwudziesto pięcio letnie serce przejęte miłością.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SPOTKANIE.

Wpośród kwiatów i światła — i dźwięków na balu,
On — spotkał Ją — po wielu latach niewidzenia;
A ona bez wyrzutu — bez skargi — bez żalu,
Podała mu dłoń swoją — zimną jak z kamienia.
I kiedy przy niej usiadł — spytała czy jeszcze,
Lubi kwiaty — jaśminy i kolor niebieski? —
„Bo ja“ mówiła z cicha — „lubię tylko pieski
Co mi palce kaleczą — gdy się z nimi pieszczę.“
Po chwili mąż jej nadszedł — zgrany w wista srodze
I rzekł ziewając „słyszę już turkot karety“
„Tyś senna — i mnie także artretyzm rwie w nodze
A ona wstawszy z krzesła — blada, na wpół żywa
Z uśmiechem przez łzy rękę ścikając poety
Rrzekła mu, napisz sonet — jakem ja szczęśliwa!

*

WYMYTA PODŁOGA.

RAMOTKA Z ŻYCIA PROWINCJONALNEGO

PRZEZ

WŁODZIMIERZA ŁADĘ.

(Ciąg dalszy).

II

Natalka.

— Co mówisz! szepnął pan Idzi oglądając się. — Jakżeś nieostrożny, panie Konstanty!

— Cóż w tem złego?

— Jakto, co złego? — mówisz tak głośno......

— Przecież gazety codzień piszą o tem.

— Gazety, gazety!..... to co innego..... ale my, ludzie prywatni, musimy być ostrożni..... wyjawienie bezwzględne politycznych myśli może sprowadzić komplikację z władzą wykonawczą.....

— *Verba volant*, panie Idzi. Ty, co piszesz, więcej jesteś nieostrożny odemnie.

— Ale ja piszę pod allegorją.

— Ale, ale, odezwało się kilku, — panie Idzi, musisz nam też co przeczytać z twoich utworów.

— Co, ja!? zmiłujcie się.... nie mogę!

— A toż dla czego?

— Kompromitacja polityczna... proces kryminalny... nie mogę!.....

— Przecie sam mówisz, że piszesz w przenośni.

— Tak jest, ale.....

— Daj się ubłagać, kochanie. Zresztą między nami nie potrzebujesz się obawiać.

Próżność autorska przemogła skrupuły pana Idziego.

— Poświęcę się dla waszej przyjaźni, rzekł. — Nikt nie zna moich poezji..... przeczytam wam kilka.... później.... jeśli się dobrze zasłużycie.

— Jakto?

— Wychylając do dna kielichy za zdrowie mojej pieszczotki, odparł Idzi, wskazując ręką na gruppę, stojącą o kilkanaście kroków dalej, przy wspaniałym klombie róż.

Obecni spojrzeli w tę stronę.

Scena była dość malownicza. Natalka i dwie jeszcze panienki trzymały w rękach rozpoczęte bukiety, pan Idzi nadchodził właśnie, gdy jego pieszczotka wydawała w formie prośby rozkaz Henrykowi, aby zerwał przepyszne róże, kwitnące w samym środku klombu.

— Trudno to będzie, odparł Henryk.

— A to czemu?

— Jest niepodobna przecisnąć się między temi kolcami.

— To nic, to nic, idź pan, a prędko; nie wypada dać nam czekać długo, rzekło śmiejąc się dziewczę.

Henryk westchnął i powolnym krokiem postąpił naprzód. Stanął tuż przy krzakach, wyciągnął rękę... ani sposób!

— Potrzebaby mi mieć ręce o dwa łokcie dłuższe, rzekł.

— Piękniebyś pan wyglądał, zaśmiały się panny.

— Naprzód, naprzód! wołała Natalka. — Będzie to czyn bohaterski, jak rycerza de Lorges.... znasz pan „rękawiczkę“ Szyllera?

— Henryk nie odpowiedział. Rozpaczliwym ruchem posunął się naprzód, wyciągnął ręce, rozdzielił gałęzie i syknąwszy z bólu, wyskoczył znów na ścieżkę.

— Ależ to niepodobna do uczynienia.

— Szkoda, rzekła Natalka. — Takie śliczne róże.

— Mam ręce zupełnie.... zupełnie.... *meurtries*, mówił Henryk, oglądając żałośnie swe podrapane dłonie.

— Ha, ha, ha! brawo, brawo! zawołali nadchodzący mężczyźni.

— To był znakomity skok, hrabio, rzekł pan Konstanty. — Nie wiedziałem, że jesteś tak dzielnym gimnastykiem.

— Posłuchaj, hrabio, zawołał pan Idzi; — powiem ci coś:

Nie dałeś róży Natalce,
I pokłułeś sobie palce.

— Brawo! wiwat gospodarz! zawołali chórem obecni.

— Panowie, rzekł nagle Henryk, — czy nie uważacie, że deszcz się oznajmia?

— Istotnie, chmurzy się.

— Nietylko to, ale czułem jedną kroplę, że mi spadła na twarz.

— No, to chodźmy do pokoju.

Panny pobiegły naprzód, za niemi poszli śmiejący się mężczyźni, a na ostatku powlókł się markotny Henryk, mrucząc:

— Co za kaprys!.... będę miał przez tydzień *des égratignures*... ot, na nowo jedna kropla, która spada... zrobię z tego chorobę... słowo honoru!

Biedny Henryk!... Nie domyślał się, że inne chmury jeszcze gromadzą się na horyzoncie jego zdrowia.

W salonie rozpoczęto tańce, a w pokoju pana Idziego powrócono do cygar i wista. Jerzy, zajęty usługą, zapomniał dziś wydelegować Grzesia z łopatką i szczotką, a przez to zapomnienie, posadzka pokrywała się coraz grubszą warstwą popiołu.

Kielich krążył nieustannie wśród śmiechów i gwarnej rozmowy, i grający byli już nieco podochoceni, gdy pan Konstanty, wygrawszy robra, zawołał:

— Ale, ale, panie Idzi! a obietnica?

— Prawda, prawda! zawtórowano ze wszystkich stron.

— Dajcie pokój.... kiedy indziej.... wymawiał się gospodarz.

— Nie, nie! dałeś słowo!

— Ha! kiedy koniecznie chcecie.... ale przedewszystkiem, kielich do góry! —

Wiwat solenizantka! zagrzmiało trzydzieści głosów, i trzydzieści kielichów przelało się w spragnione gardła gości.

— A teraz poemat! poemat!

Pan Idzi otworzył biórko i z ukrytej szuflady wydobył gruby pakiet.

— Usiądźcie w koło, rzekł, a ja stanę na środku...

— Nie, nie! na stół! na stół!

— Co wam też w głowie!...

— Na stół! to zastąpi trybunę!

I kilku pochwyciło gospodarza, który w okamgnieniu znalazł się na stole.

— A teraz sza! cicho!

Pan Idzi ujął zeszyt w lewą rękę, a prawą gestykulując w sposób trudny do opisania, rozpoczął czytanie.

— Słuchajcie: bajka polityczna pod tytyłem: Śmierć Wilka.

— Brawo, brawo!

— Antosiu, proszę cię, otwórz drzwi i zobacz, czy kto nie proszony nie podsłuchuje.

— Niema nikogo, rzekł pan Antoni, dopełniwszy polecenia.

— Albowiem, szanowni i łaskawi sąsiedzi i przyjaciele, rzekł pompatycznie pan Idzi, — w niniejszej bajce ujrzycie jak na dłoni moje polityczne wyznanie wiary.... a więc, ucho nieproszone.... rozumiecie?.... kompromitacja....

— Rozumiemy, rozumiemy! naturalnie!

— Jesteśmy sami?

— Sami, sami!

— Nie, nie! słowo honoru!

— A więc zaczynam:

Śmierć Wilka.

Był wilczek tuczony;
Chciał być sztuczny.
Wpadł do jamy....
„Wilka mamy!!!"
„A tuś mi, wilku!
„A jest nas kilku."
A on na to:
„Dobre lato."
„Dobre lato?
Pal mu za to!!!"

Tu pan Idzi spojrzał tryumfalnie po obecnych.

— Brawo! brawo! — I oklaski posypały się gradem.

— A co! rozumiecie allegorję?

— Słuchamy, słuchamy!

— Widzicie: wilk, to oligarchia.... a jama to liberalizm. Tych „kilku," co byli koło jamy, to demokracja.... a on mówi: „dobre lato;" to znaczy, że się im nie uda... no, ale jak mu palnęli... rozumiecie?

Pokój zatrząsł się homorycznym śmiechem.

— W górę! w górę! wiwat Idzi! niech żyje! w górę!

I rozochoceni węgrzynem, przyskoczyli hurmem do stołu, porwali pana Idziego na ręce i zaczęli nosić go w tryumfie, śpiewając na całe gardło znaną piosenkę:

A gdy nam się pora zdarza,
I taka doba,
Pijmy zdrowie gospodarza,
Co się podoba.

— Wiwat moi goście! krzyczał pan Idzi, unosząc do góry rękę, w której zeszyt powiewał jak chorągiew.

— Wiwat! niech żyje gospodarz! odpowiadali chórem towarzysze.

Hałas ten, śpiewy i wiwaty doleciały aż do salonu i przygłuszyły muzykę.

— Co to? co to? pytano. — Chodźmy zobaczyć.

I przerwawszy taniec, całe towarzystwo, ciekawością zdjęte, zmierzyło do pokoju, gdzie śpiew i hałas coraz więcej się wzmagał.

Zobaczywszy gospodarza obnoszonego na rękach, młodzież dołączyła swe entuzjastyczne wiwaty do śpiewu noszących, panny klaskały w rączki i śmiały się serdecznie.... Ale pani Lizia!!!...

Weszła ona ostatnia i niemniej od innych ucieszona była tryumfem męża. Lecz przypadkiem wzrok jej zabłąkał się na podłogę....

O straszny widoku! Popiół z tytuniu połączył się z rozlanem tu i owdzie winem, a marsz tryumfalny rozniósł to popielate błoto po całym pokoju. Pani Lizia już chciała zemdleć, lecz pan Antoni zawołał:

— Wiwat gospodyni!

— Niech żyje!!! zawtórował chór mężczyzn.

— Panowie! kielich do góry, i na kolana!

Rzucono się do kielichów i mężczyźni wypili na klęczkach zdrowie pani domu. Ten hołd udobruchał nieco panią Piwczynę, ale boleśnie dotknięte uczucie flamandzkiej czystości, domagało się zadośćuczynienia. W tejże chwili Jerzy i Franciszek otworzyli podwoje, oznajmiając kolację. Pan Konstanty podał rękę gospodyni.

— Przepraszam pana... za chwilę... muszę dać rozkaz lokajowi...

Pan Konstanty odszedł, a pani Lizia skinęła na Jerzego.

— Jerzy! biegnij co żywo do kuchni, zapalić pod kotłem.... wołaj wszystkie dziewczęta.... pełny kocioł wody, i niech tu wyszorują podczas kolacji.

Jerzy wiedział, że pod tym względem wola pani była niezmienna i w milczeniu poszedł wypełnić rozkaz. Pani Eliza udała się do kolacji.

Lecz raz rozbudzona manja porządku nie dała się ukołysać. Podczas kolacji pani Piwczyna była roztargniona i niespokojna, a skoro tylko wstano od stołu, pobiegła na górę, do pokojów gościnnych, przeznaczonych dla gości płci męzkiej.

I tu, lubo w mniejszym stopniu, świadectwo pobytu amatorów tytuniu. Pani Lizia załamała ręce.

O! nie daruję.... dusza się wzdryga.... za karę, moi panowie, będziecie spać w wilgotnych pokojach.

I zeszedłszy na dół, pani Piwczyna wydała stosowny rozkaz dziewczętom, które właśnie kończyły myć pokój pana Idziego.

— Liziu, kochanie, rzekł nadchodzący mąż, cóżeś zrobiła!....

— Dziuniu, żadnych wymówek.

— Ależ duszko, nie mamy gdzie grać, a jeszcze parę robrów....

— Serwacy, nie mięszaj się....

— Liziu, nie gniewaj się.... ale poradź przynajmniej....

— Masz pokój jadalny.

— Prawda! i każę rozłożyć dywan, albo ceratę.... tę wielką.... wyborna myśl!

I pan Idzi odszedł, zacierając ręce z radości i rozmyślając, czyby ten wypadek nie dał się zamienić w bajkę polityczną, pod tytułem: dywan i cerata.

O piątej rano ucichły dźwięki ostatniego mazura. Henryk znużony bezsennością i rozmarzony winem, drzemał gdzieś w kącie, a Juljan bardzo gorliwie zastępował go przy Natalce; tak dalece, że Kazio parę razy szepnął:

— Bratku! nie złapiesz starego wróbla na plewy. Ale pamiętaj, że musisz dać starego węgra.... spiję się jak bela!

Juljan, upojony szczęściem, nie zapierał się dłużej, tylko ujął dłoń przyjaciela, i rzekł:

— Kaziu, to sekret jeszcze. Zaklinam cię, nie zdradź mnie, bo jednem nieostrożnem słowem możesz zniweczyć szczęście mego życia.

— Bądź spokojny, odparł Kazio.

Pani Lizia poprowadziła damy do przeznaczonych pokojów, a pan Idzi rzekł do pozostałych mężczyzn:

— Do poduszki, ostatni kielich.... kochajmy się!

— Kochajmy się! powtórzyli obecni, trącając kieliszkami.

— A teraz, proszę za sobą.

I pan Idzi poprowadził gości na górę. Henryk, zbudzony ostatnim toastem, szedł na końcu.

— Panie Konstanty, panie Kazimierzu, panie Juljanie, panie Antoni, proszę tutaj, rzekł gospodarz otwierając pierwsze drzwi.

— Tam do licha! co to znaczy? zawołał nagle.

Goście przystąpili ku drzwiom i wybuchnęli serdecznym śmiechem. Cała podłoga zalana była wodą, troje dziewcząt uwijało się ze szczotkami i ścierkami, słowem, operacja szorowania w całej rozciągłości.

— Co to znaczy? powtórzył pan Idzi.

— Pani kazała, odrzekły chórem dziewczęta.

— Masz tobie! co tu robić? chyba rozdzielę was po innych pokojach.

I pan Idzi otworzył drugie drzwi....

A, to niesłychana!

Tutaj mycie zbliżało się do końca. Basia i Magdusia wycierały podłogę.

Zmartwiony gospodarz pobiegł dalej. Reszta pokoi przebyła już operację, ale ów charakterystyczny zapach szarego mydła, skombinowanego z wilgocią, nie pozwalał myśleć o spoczynku. Śmiech gości wzrastał z otwarciem każdych drzwi, a doszedł szczytu potęgi, gdy pokazało się, że jednego suchego kąta na pomieszczenie mężczyzn niema w całym domu.

— Cóż ja pocznę? mówił stroskany pan Idzi prawie ze łzami w oczach.

— Łatwo temu zaradzić, odezwał się Juljan. — Teraz lato, a my hreczkosieje......... prześpiemy się w stodole, w oranżerji.... na wonnem sianku....

— Julku, szczytna myśl!..... złoty chłopiec z ciebie. Chodź; niech cię uściskam. Hej, Jerzy! Franciszek! prędko! przenosić materace i poduszki.... połowę do oranżerji, połowę do stodoły!

Śmiejąc się jeszcze i rozmawiając wesoło o porządkach pani Piwczyny, zaczęli goście schodzić do ogrodu.

— A ja? a ja? przemówił żałośnie Henryk.

— Pójdziesz z nami do stodoły.

— Nie mogę.... biegi wiatru.... stałbym się chory...

— To do oranżerji.

— Jest to ta sama rzecz.

— Oto bieda! rzekł gościnny pan Idzi. — A, wiem, wiem.... ulokuję cię u ekonoma; zobaczysz hrabio, prześpisz się wybornie.

— U ekonoma? powtórzył przeciągle Henryk. — To jest niepodobne..... nie mogę... nie mogę.... *déroger*.

— A cóż ja zrobię z tobą?

— Pokój u pana już suchy, odezwał się Jerzy.

— To, to, to! zawołał gospodarz. — Jerzy, zaprowadź pana hrabiego i przygotuj łóżko.

I podawszy na dobranoc rękę Henrykowi pan Idzi zeszedł szybko do ogrodu, dogonił gości i ujął Juljana pod ramię.

— Julku, chwyciłeś mnie za serce. Za sam ten pomysł wart jesteś.... mnieby to nigdy na myśl nie przyszło. Ale co za wspaniały przedmiot do epopei politycznej, pod tytułem: noc w stodole!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD
literatury zagranicznej.

W Numerze 9 pisma naszego za r. b. podaliśmy rozbiór znakomitego dzieła pani Lewald. „Za i przeciw kobietom.“

W tej chwili leży przed nami broszura pani Matyldy Reichard-Stromberg pod tyt. „Frauenrecht und Frauenpflicht“ będąca niejako przeciwstawieniem zupełnie różnych idei.

O ile poważne dzieło p. Lewald odznacza się jasnością, konsekwentnie przeprowadzonym programem i zupełną świadomością celów, które szanowna autorka w ważnej kwestji usamowolnienia kobiet osiągnąć zamierza, o tyle pismo ulotne p. Stromberg uderza nas brakiem stanowczego wypowiedzenia myśli przewodniej i często powtarzającemi się sprzecznościami.

Pani Reichard-Stromberg, wzięła pióro do ręki w celu wystąpienia przeciw p. Lewald, a raczej przeciw jej teorji o wychowaniu i działalności kobiet, dążących do zapewnienia sobie niezależnego bytu przez samodzielną pracę. Teorję tę sformułowaliśmy w wyż wspomnianym Numerze „Kaliny,“ co zaś do przeciwstawień p. Stromberg to sformułować ich niepodobna, przedmiotowo bowiem rzecz biorąc niema ich zupełnie. Postawiwszy na czele książki niefortunne motto:

„Das Weib und der Offen sollen im Hausen bleiben“ kreśli nam autorka nader zręcznie powaby domowego życia i właściwe powołanie kobiety. W tym ustępie jednak nie znajdujemy nic nowego i nic oryginalnego a co więcej nic takiego coby się przeciw p. Lewald obrócić mogło, p. Stromberg bowiem zużytkowawszy wszelkie możebne zwroty świetnej Dyalektyki na wykazanie znanej prawdy, że kobieta w domu jest tem, czem pachnąca róża w ogrodzie i obrzuciwszy Jowiszowemi gromy ze stanowiska estetycznego, ekonomicznego i moralnego usamowolnienia kobiet do pracy zarobkowej, przyznaje w końcu sama, że są przecież tak nieszczęśliwe kobiety co pod obcym dachem schronienia szukać muszą.— Żeby schronienie to jednak znaleść potrzeba pracować a co więcej potrzeba przygotować się do pracy— na taką specjalną kwestją znajdujemy u p. S. ciekawą odpowiedź: „Człowiek nietylko chlebem żyje“ mówi ona, nie podając jednak sposobu jak żyć należy, aby się obejść bez chleba.

Na innym miejscu przyznaje p. S. że znajdują się kobiety, które z nieubłaganej konieczności na zaspokojenie potrzeb pracować muszą— lecz jak?.... p. S. pytanie to pomija, a przecież przeciwniczka jej p. Lewald powiedziała wyraźnie: „Kobiety winny pracować jak mężczyźni tj. jak chcą i jak mogą.“

Chcieć pracować, to niewystarcza, trzeba módz pracować tj. przygotować się do pracy w stosownie zorganizowanych szkołach realnych, które p. Lewald usilnie zaleca.

Pani S. nietylko, że tej ważnej nie porusza materji— ale krótko i węzłowato powstaje na p. L. mówiąc iż posełanie dziewic do żeńskich szkół realnych jest barbabarzyństwem.

— Przeczytawszy interessującą broszurę p. Stromberg dziwić się należy, że kobieta wykształcona, że kobieta, która wytrzymać i prowadzić była w stanie dziennikarską polemikę z takim potężnym umysłem jak Jakób Moleschott powstaje dzisiaj na wyswobodzenie kobiet ze stanu ignorancji i bezczynności, na rozumnie pojętą emancypacją, która jedynie tylko wyprowadzić zdoła kobiety z niewoli, jaką daje u góry przesyt zbytku i nieobyczajna moda, a u dołu nieporadność i płynąca z niej nędza.

* * *

Towarzystwo Imienia Shakespeara w Niemczech zarządziło nowe wydanie dzieł tego wielkiego dramaturga w znakomitym tłumaczeniu Schlegla i Tiecka. Obecnie wyszedł u G. Reimera w Berlinie tom 8 i 9.— W tomie 8 znajduje się znakomitszy dramat Shakaspeara „Coriolan“ tłomaczony p. Jerzego Herwegha ze wstępem i objaśnieniami Ulricego, którego krytyki dramatyczne i dzieło o Shakespearze używa europejskiej sławy.

Wyszedł także pierwszy zeszyt wielkiej Shakespeorowskiej galerji obejmującej charaktery i pojedyńcze sceny z dramatów tego mistrza. Staloryty wykonane są podług wzorów M. Adamo, H. Hoffmann, Mokarta i Schwoerera, tekst jest pióra F. Pechta.

* * *

Wydawnictwo zbiorowych pism Józefa Mazziniego staraniem księgarza Medjolańskiego Daelli doszedłszy do 7go tomu stanęło, obecnie dalszego wydawnictwa podjął się Robecki Lewino w Medyolanie i właśnie ukazał się tom 9 zawierający bardzo ważne i ciekawe akta polityczne.

O...le.

ROZMAITOSCI.

*** Posiedzenie ogólnego stowarzyszenia kobiet w Niemczech odbędzie się t. r. w Nordhausen i trwać będzie od 2 — 7 Października. Stowarzyszenie to zawiązane w 1865 r. cieszy się ogromnym wpływem i obejmuje bajeczną prawie liczbę członków. Bióro centralne znajduje się w Lipsku i w skład jego wchodzą następujące Panie: Ludwika Otto-Peters (Seitenstrasse) Augusta Schmidt (Königstrasse) Alwina Winter (Waldstrasse) Henryka Goldschmit (Rosenthalstrasse).

Panie chcące brać udział w stowarzyszeniu lub przyjechać na posiedzenie winny się zgłosić do 1go Września listownie do Panny Tekli Navean w Nordhausen.

*** Pani Dziubczyńska właścicielka renomowanego Magazynu mód, wyjechała do Krynicy z zapasem pięknych toalet damskich, sukni balowych— nader gustownych stroików— i prześlicznych paryzkich kwiatów, które tak dzisiaj łudzą oko, że tylko zapachem różnią się od prawdziwych. Panie więc nasze, które i u wód przy chorobie nie zapominają o elegancji, mogą korzystać z Magazynu pani Dziubczyńskiej, któren to dom polecamy, pięknym czytelniczkom naszym, jako odznaczający się gustem i taniością.

— **Wierzenie w czarta.** W r. 1821 wybuchły w Margrabstwie Morawskiem, zwłaszcza na granicy królestwa Czeskiego, rozruchy włościańskie, z powodu robocizny czyli pańszczyzny. Ażeby zapobiedz takowym w obszernych dobrach Swojanowskich, w powiecie Chrudimskim, dziedzic tychże zapotrzebował pomocy siły zbrojnej, która mu też udzieloną została w oddziale huzarów, którzy łącznie ze strażą leśną tych dóbr rozciągnęli kordon w lasach, leżących na pograniczu Czesko-morawskiem. Włościanie okolicznych wsi, a przynajmniej niektórzy nic nie wiedzieli o tych rozruchach, a nawet o jakiejś tam straży huzarskiej. Pewnej nocy jeden z ubogich włościan ze wsi Nedwiezie wybrał się do lasu, w celu sprowadzenie sobia niedostającej mu podściółki dla swojej krówki. Była już północ. Naraz nadjechał patrol z kilku huzazów. Widząc jakiegoś człowieka podjechał ku niemu. Włościanin widząc coś niezwyczajnego, z szumem i brzękiem wpadającego na siebie na groźny głos, którego słów nie zrozumiał, pełen strachu zaczął co tchu uciekać. Jeden z huzarów w pogoń za nim i dogoniwszy ciął go szablą po karku. Włościanin uczuwszy długą rękę na swym karku padł na kolana i ze złożonemi do góry rękoma zaczął błagać w tych słowach: „Panie czarcie! Ach! ja już nigdy nie pójdę po podściółkę. Ach! panie czarcie! ja biedny człowiek!“ Huzar poznawszy z kim ma do czynienia powrócił do swoich, a zabobonny włościanin może się uleczył z zabobonu, przekonawszy własnem ciałem, że nie czarci a ludzie płazować umieją.

— **Sposób leczenia wścieklizny.** Dziennik *La Ferme* następującą podaje wiadomość:

Dr. Buisson, wezwany do chorej na wściekliznę, która w swej chorobie blizką była ostatecznego przełomu, puścił jej krew i otarł ręce chustką napojoną śliną umierającej. Na wskazującym palcu u lewej ręki, miał on rankę nie zagojoną, zbyt późno spostrzegł swą nieostrożność, ale ufny w skuteczność nie dawno przez siebie wynalezionego środka, poprzestał na przemyciu ranki czystą wodą.

Sądząc, mówi pan Buisson, że choroba nie prędzej się objawi, jak czternastego dnia i mając wiele chorych do odwiedzania, ociągałem się z dnia na dzień z użyciem mego lekarstwa, to jest z wzięciem *łaźni parowej*. Dziewiątego dnia, pracując w swoim gabinecie, uczułem nagle ból w gardle, a jeszcze dotkliwszy w oczach; ciało moje wydawało mi się tak lekkiem, że przekonany byłem o możliwości wzniesienia się jednym skokiem do niesłychanej wysokości; włosy stały się tak czułemi, że zdawało mi się, iż będę mógł je policzyć, nie patrząc na nie; ślina bez ustanku płynęła mi do ust, wpływ powietrza raził mię strasznie, a wzrok unikał widoku ciał błyszczących, czułem nieprzezwyciężoną chęć biegania i kąsania, nie ludzi ale zwierzęta i wszystko co mię otaczało.

Piłem z wielką trudnością i uważałem, że widok wody więcej mię męczył jak ból w gardle, wnoszę ztąd, że każdy dotknięty wścieklizną, może zawsze pić zmrużywszy oczy.

Napady przychodziły co 5 minut i uczuwałem wtedy ból na całej przestrzeni od wskazującego palca aż do łopatki. Sądząc, że środek przezemnie odkryty, jest tylko prezerwatywą, nie mającą mocy leczniczej, wziąłem łaźnią parową, nie wzamiarze wyleczenia się, ale przeciwnie zadania sobie śmierci przez uduszenie. Kiedy temperatara podniosła się do 52° (100 stopniowego term.) wszystkie objawy choroby znikły w jednej chwili i od tego czasu nigdy więcej nie wróciły. 80 blizko ukąszonych przez wściekłe zwierzęta, uleczyło się wskazanym przezemnie środkiem.

Sposób postępowania w podobnem leczeniu jest następujący: osoba ukąszona przez psa wściekłego, winna przyjąć 7 kąpieli parowych, po jednej dziennie, w temperaturze od 67 do 63 stopni. Jest to środek zapobiegający. Jeżeli zaś choroba już się objawi, potrzebną jest jedna tylko kąpiel w temperaturze nader szybko do 57 stopni podniesionej, a następnie zwolna do 63° doprowadzonej. Chory powinien nadto siedzieć dobrze zamknięty w swoim pokoju, aż do zupełnego wyleczenia.

W skutek zapewne utrudnionej komunikacji z Paryżem, mody na Lipiec niedoszły nas zupełnie — po odebraniu rozeszlemy takowe natychmiast Szanownem czytelniczkom naszym.

Z przyczyn niezależnych od Redakcji numer z soboty przeszłej nie mógł być we właściwym czasie rozesłany.

REBUS.

czenie × na : li
jjjjjjjj
j czło j
jjjjjjjj
Bog-k

Znaczenie Rebusa w N. 23. — Pytanie do czego nam się wojna przyda.

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.
Redaktor odpowiedzialny i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.